Ner 30. Kraków 30 października 1869. Rok IV.

KALINA

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa w księgarni **J. Czecha** hotel drezdeński i **F. Baumgardtena** w głównym rynku.
Listy należy adresować: do Administracyi Kaliny" — w Krakowie.

Czechy i Polska w XV wieku.

przez

Wincentego Sarneckiego.

(Ciąg dalszy).

Hussytyzm przedewszystkiem we wszystkich swoich pojawach późniejszych, nosi na sobie charakter polityczny; obrony czystości żywiołu narodowego od wpływów germanizacyjnych. — Pierwiastkowy zakrój reformatorski rozbudził tylko w narodzie fanatyzm, że się tak wyrazimy, do walki patrjotycznéj, najwymowniéj o tém świadczy wątłe jego istnienie późniejsze; słaby za Jana Hussa, wzmógł się interesem walki z Niemczyzną, a z upadkiem jéj, łączy się upadek Hussytyzmu, w podziale na romaite sekty, rozpłynął się w wyznaniu protestanckim, a nieliczna już sekta tak zwanych braci Morawskich, w wieku XVI dogorywa w Polsce. Hussytyzm przyszedł do życia potężnego, jakim zabłysnął w wieku XV, bo wiązał się z potrzebami Czech, wyrobil się i mógł uzyskać tylko prawo obywatelstwa w łonie narodowości, w któréj powstał, jako reprezentujący jéj interesa, a przeniesiony w terytorjum obce, usechł jak roślina egzotyczna; powodzenie jego w Polsce było chwilowe, czerpiąc siłę do życia w ciągłych stosunkach z Czechami.

Myliłby się ktoby sądził, że Hussytyzm w Polsce się nie przyjął, w skutek ucisku i prześladowania duchowieństwa polskiego, a na poparcie twierdzenia naszego, służy nam wiek XVI, gdzie presja duchownych złagodniała, tolerancja pomagała szerzeniu się herezji, a przecież luteranizm, kalwinizm i arjanizm nigdy nie zapuścił głębiéj swych korzeni na gruncie polskim. W ogóle reformacji nie można nadawać tylko znaczenia religijnego, przeważnie ona ma polityczny cel wyswobodzenia się z pod przykréj przewagi i Rzymu i zdobycia sobie wolności myśli — od przewagi kościoła broniła miłość wolności, tak głęboko zakorzeniona w szlachcie polskiéj, która też nie potrzebowała ku obronie reformatorskich ruchów; stawianie tedy na piedestalu bohatera pogromiciela Hussytyzmu w Polsce Zbigniewa Oleśnickiego jest mylném, bo Hussytyzm ten nie wyszedł z krwi narodu, a więc i przyjąć się nie mógł, zabiegi raczéj Zbigniewa zerwały węzły dwóch narodów, dążących do połączenia się. Przecież w ogóle w dziejach ludzkości nie należy wiele wkładać odpowiedzialności na jednostki, gdyż obok istnieją zawsze tysiączne przyczyny, które dla mniéj krytycznego badacza giną w mgle dziejowéj.

Mężom obdarzonym głęboką mądrością, do jakich bez wątpienia należy Jan Huss, danėm jest odgadywanie przyszłości — nie należy przypisywać tego objawu wpływom nadnaturalnym ale bystrości umysłowéj, zdolnéj z przyczyn odgadywać skutki. Wielcy prawodawcy i wodzowie wschodni rozpalali tłumy do walki, rozbudzając w nich fanatyzm dogmatami religijnemi, stawiając tym sposobem nieprzepartą różnicę i indywidualizm swego narodu. Czy i Jan Huss nie może być tak pojętym? patrząc na pierwsze objawy hussytyzmu zdanie to jest wątpliwém, lecz w późniejszym jego istnieniu wzgląd ten przeważa. Na takim pojęciu zyskuje nawet wielkość Hussa, jako męża politycznego, bo ze względów reformatorskich nie był oryginalnym. Nauka jego jest dalszym szerzeniem zasad Wiklefa, plebana angielskiego w Lutervolt, głoszonych około roku 1376, a tworzących ogniwo między zapomnianemi naukami Berengariusza, Waldensów i Albigensów w XIII wieku a Lutrem XVI. Wystąpił Wiklef i jego uczniowie przeciwko powadze papieża, zasługom mnichów, nadużyciom instytucji kościelnych, przeciwko odpustom, obrazom, świętym i t. p. Tłumaczył biblią na język angielski, odrzucił zasady o spowiedzi douszněj, celibacie, przeistoczeniu chleba i wina w ciało i krew pańską. Podobnież jak Wiklef wystąpił Jan Huss profesor uniwersytetu pragskiego „wzór nauki, moralności i łagodności chrześciańskiéj" na początku XV wieku przeciwko nadużyciom władzy papieskiéj, przeciwko zepsuciu kościoła celami ziemskiemi. Głosy są podobne, bo i wyszły w tych samych okolicznościach, w czasie tak zwanéj Wielkiéj schizmy Zachodu, trwającéj lat 40. Dało jéj początek przeniesienie się Klemensa V z Rzymu, zaniepokojonego stronnictwami Gwelfów i Gibelinów do Awignionu w ojczystéj Francji. Wśród niezgód po kilku naraz panujących kościołowi chrześciańskiemu papieży, wybieranych przez stronnictwa francuskie i włoskie, he-

rezja łatwiéj mogła podnieść głowę, a podnosząc głos przeciwko zepsuciu kościoła, które czuła i stolica apostolska, miała argument dość silny, dla wykazania słuszności swych żądań, — nadto szerzeniu się nauki Jana Hussa pomagały niedołężne rządy Wacława IV, pijanicy, jak go pospolicie kronikarze zowią.

Dopiero Sobór w Konstancji r. 1414 zaradził złemu, zwalając trzech papieży, a na ich miejsce stanowiąc Marcina V. Na ten to sobór wezwany także został Jan Huss, zostający pod klątwą od r. 1409, na którąto klątwę odpowiedział w trzy lata późniéj Hieronim z Pragi, szlachcic czeski, spaleniem bulli Jana XXIII o odpuście. Dzwony już były w robocie, bo na soborze Jan Huss wyrzekł się kacerstwa — odwołał jednakże to swoje wyznanie, trzymany w więzieniu, „gdy przez siedm miesięcy wyczerpano łagodne środki do jego nawrócenia“ spalony został żywcem na stosie; temu samemu uległ losowi Hieronim z Pragi. — Zginął Huss ale nie zamarła myśl podniesiona przez niego; śmierć jego rozżarzyła namiętną walkę Husycką, do któréj po śmierci Wacława IV przystąpił żywioł polityczny. Prawo do korony czeskiéj przechodziło na brata jego Zygmunta cesarza niemieckiego i króla węgierskiego. Wychowanie wpoiło weń ducha niemieckiego i nienawiść ku szczepowi sławiańskiemu. Posłuszny Rzymowi nienawidził Hussytów. Czechia nie mogła w nim zasmakować, a zagrożona walką z całą rzeszą niemiecką, zwróciła oczy ku jednoplemiennéj Polsce. Robimy tu ważną uwagę, że inicjatywa połączenia się z Polską wyszła z łona ludu a nie monarchy, ludu ufającego liberalnéj polityce Polski, i w niéj upatrująca gwarancję swéj wiary. Wiarą polityczną Czech ówczesnych było połączenie się dynastyczne z Polską, nie znoszące autonomii miejscowéj — zaiste to coś innego aniżeli głoszony dziś panslawizm moskiewski. Idea ta federacyjna zmarniała w XV wieku, nie wydawszy owocu, jaki dać była powinna, posłowie czescy natrafili w Polsce na grunt niewdzięczny. Polityka ultramontańska, któréj potężnym przedstawicielem był Zbigniew Oleśnicki, przełożyła sprawy religii i korzyści nad interes polityczny. Chociaż więc możnowładztwo świeckie nie mogło nie widzieć dotykalnych korzyści dla kraju w połączeniu się dwóch jednoplemiennych narodów w interesie walki przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi, potędze cesarstwa i wiecznie na ich usłudze zostających krzyżaków, to przecież możnowładztwo to nie dorosło jeszcze do przewagi z czasów Zygmunta Augusta. Ówczesne stanowisko jest reakcyjne, do czynu jeszcze nie doroslo. Przeciwstawia swą potęgę przeciwko zgubnym dla korzyści politycznéj narodu wpływom kościoła, ale nie kieruje wyłącznie sprawami narodu i dozwala upaść wielkiéj federacji objawionéj przez Czechy. Ruch Hussycki miał podnieść tylko wielkiego wodza i polityka Zygmunta Korybuta syna Dymitra Korybuta księcia Nowogrodzkiego na godność namiestnika Czech. Nie tu miejsce opowiadać szczegółowo drobne fakta, ale trudno powstrzymać się od krótkiego chociażby przejrzenia ich.

Dwa poselstwa przybywały z ofiarowaniem korony czeskiéj Jagielle, pierwsze w Kowalu a drugie w Wolborze. — „Nic więcéj nie żądamy, są słowa posłów, jak przyrzeczenia nam czterech artykułów, jako to: tolerancji dla naszéj komunii w dwu postaciach, poskromienia krajowych łotrostw, nieprzeszkadzania naszemu wykładowi słowa Bożego i zatrzymania dóbr od kościoła katolickiego do naszego odłączonych. Zresztą bowiem we wszystkich obrządkach i dogmatach chcemy być kościołowi rzymskiemu posłuszni. Jeżeli Wasza Król. Mość królestwem naszém pogardzisz, bądź pewnym, że *i w własném nigdy spokojnie rządzić nie będziesz*, ani téż bytu jego bez morderczych wojen nie utrzymasz. Król Zygmunt jest wspólnym naszym wrogiem. Zniweczywszy królestwo Czeskie, rzuci się bez pochyby na twoje.“ — Przytoczyliśmy te słowa, gdyż dobitnie malują nam ówczesne stosunki państwa, a wypowiedziane były wtedy już, gdy zakon najechał roku 1420 ziemie Pomorską, Michałowską, Chełmińską, a Zygmunt przysądził jeszcze Żmudź krzyżakom. Toż Jagiełło i Witołd zamknąwszy się „ryczeli jak lwy, mówi Długosz, z żalu, wstydu i rozpaczy.“ — Tymczasem wśród traktowania posłów czeskich z królem, spada niby grom z pogodnego nieba bulla papieska, rzucająca interdykt za przyjmowanie kacerzy na każdą piędź ziemi, gdzieby stopa Hussycka się pojawiła. Toż na zjeździe w Niepołomicach, zwołanym przez króla, przychodzi list Marcina V grożący krucjatą, a duchowieństwo polskie wbrew popieraniu sprawy hussyckiéj przez książy świeckich, odrzuca prośby posłów czeskich. Zastraszony Jagiełło, znany ze swéj pobożności, umywa ręce w téj sprawie i odsyła posłów do Witolda „drugiego króla“ jak mawiano wówczas. Witołd nie daje stanowczéj odpowiedzi co do przyjęcia korony, zostawiając odpowiedź aż do zjazdu w Lublinie a podejmując się tylko tymczasowéj administracji Czech i medjacji z kościołem rzymskim, naznaczając swym namiestnikiem w Czechach wspomnianego Zygmunta Korybuta.

(Dokończenie nastąpi).

SENTYMENTALNÉJ.

Kochaj mnie tkliwa dziewczyno!
Bo jestem smutny i blady,
Wyglądam jak jaki upiór
Z staréj niemieckiéj ballady.

Duszę mam pełną tajemnic,
Cierpię zgryzotę sumienia,
Na mojéj przeszłości ciężą —
Straszne i krwawe wspomnienia.

To życie nudzi mnie marne,
I nie wiem co z sobą zrobić . . .
Bo dotąd nudy i ludzie
Nie mogli jeszcze mnie dobić.

Niech więc w twém czułém serduszku
Współczucie dla mnie się zbudzi! . . .
Twa miłość czysta, anielska —
Pewnie mnie na śmierć zanudzi!

El. . . y.

PENSJONARKA.

Powieść ***Marka Wowczka*** (pani Markowicz),
przełożył z ukraińskiego P. Stachurski.

(Ciąg dalszy).

XV.

Kochała go ona, ale jakoś dziwnie, nie po ludzku. Bywało, nawinie się która z panienek sąsiadek wypytuje: Prawdaż-to, że ten *dumny* zakochał się w tobie? . . . oświadczył się? . . . Czy zazdrosny? . . . Jakie ci porobił prezenta? . . . Czy ty go poważasz? . . . Czy on ci posłuszny? . . .

— Osądźcie same — z uśmiechem odpowiada panienka. I zacznie przed pannami wygadywać na niego. — Natychmiast jedź mi pan do miasta — powiada — i proszę mi kupić to, owo; a tylko prędko! prędko! Śpiesz-że się pan, bym się nie gniewała! — Ten jedzie, kupuje co mu rozkazano.

— Boże mój! cóżeś to pan kupił? Nie chcę tego! Jedź pan i to odmieniaj! Mnie tego nie potrzeba! Miałeś téż pan co kupować! . . .

Jedzie znowu, mienia . . .

Albo tak. Chce on pić wodę, ona: „Nie pij pan, nie pij!“

— Dlaczego?

— Ja nie chcę! Proszę nie pić!

— Ale mam pragnienie . . .

— Ja nie chcę! Słyszysz pan: nie chcę!

I tak jakoś spojrzy czy uśmiechnie się, że posłucha. Gdy on się rozgniewa, odwraca się od niego, nic nie mówi. On wnet przeprasza, błaga . . . zaledwie nie płacze.

Przyjezdne panny dziwią się bardzo: Czyby się kto spodziewał po nim takiéj miłości! I coś ty mu robiła? jak Boga prosiła? . . .

Nasza panieneczka tylko się uśmiechnie.

Pytają: Co jéj podarował? Ona przed niemi ściele aksamity i atłasy, które ma od starszéj pani, i chwali się: „To *on* mi podarował!“

Dziwna ta miłość pańska!

A on się gniewa mocno na te sąsiadki: „Bodajbym ich nie widział!“

Stara tymczasem rozpytuje: co ma z majątku? i dopytała się że jest właścicielem futoru.

— Dziecko lube! On jest właścicielem futoru!

— Doprawdy! — krzyknęła panienka, zerwawszy się z miejsca. Gdzie? kto mówi? . . .

— Niedaleko od miasta. Niedawno, powiadają, dostał w spadku po jakiejś ciotce. Ciotka była bezdzietną! on się u niéj wychował.

— Ach Boże-ż mój miłosierny! Dlaczegoż mnie on o tém nie mówił? . . . Posiadłość zapewne niewielka . . . nie ma się czém chwalić. Ale zawsze futor: majątek w ziemi!

Spotkała go wesolutka, przywitała serdecznie. On się cieszy . . . Nie wié biedaczysko, że nie jego, lecz *futor* witają!

Koło Świąt ich zaręczono. Gości się nazjeżdżało, siła! Panienka taka wesoła, rozmowna; oczka błyszczą . . . chodzi oparta na jego ramieniu. A on ani spojrzy, tylko na nią . . . aż się słania ze wzruszenia! . . . Tańczono do dnia białego.

Tylko narzeczony i goście ruszyli — panna w płacz. Płacze i na los swój narzeka.

— Co ja zrobiła! co ja zrobiła! Jak biedném będzie moje życie! Na cóżem się na świat narodziła! . . . Bieda ty moja! dolo ty sieroca! . . .

Stara niekontenta z tych zaręczyn, ale cieszy wnuczkę, pociesza.

— Poco już płakać, dziecino! Dość już, dość tego!

— Dlaczego Bóg nie dał mu majątku, bogactwa! — wykrzyknie panienka, i łzami się zaleje; biega po pokoju łamiąc ręce białe.

— Dziecino moja! serce moje! nie płacz! Nie będziesz bogatszą nad inne, ale i uboższą także. Wszystko co moje, twoją jest własnością.

Ta jak się rzuci do staréj; obejmuje ją, całuje: Babunieczko moja! matko najdroższa! dziękuję ci z duszy, z serca! Świat mi się uśmiechnął! niebo się otwarło! Odrodziłaś mnie, najdroższa moja!

— Dość już, dość! bo sama się rozpłaczę! . . . Ot . . . i płacze, i śmieje się, stara.

— Babuniu! gołąbko! To z nami mieszkać będziesz?

— Czegoż i chcieć więcéj? . . . ale niepodobna! Ja tak myślę! Zostanę ja tu w Dębikach. Będę wam pilnować gospodarstwa, doglądać, a ty gospodaruj w futorze. Bo cóż? Tam czy tu porzucić, gospodarstwo zmarnieje, i będziesz sobie wyrzucać późniéj. „Pańskie oko konia tuczy“ nie napróżno powiedziano.

— Dobrze, dobrze babuniu! Niech i tak będzie . . . Ach babciu! dałaś mi nowe życie!

— Bądź więc wesołéj myśli, i nie płacz!

— Nie będę płakać, babuniu! nie będę!

XVI.

Ledwie że narzeczony stanął na progu, a panienka:
— Babunia nam oddaje Dębiki! Dębiki daje nam babunia!

A on spokojnie, z uśmiechem odpowiada jéj. — Cieszy to ciebie, więc i mnie nie smuci. Ja także lubię Dębiki. Tu poznaliśmy się i pokochali wzajemnie. Pomnisz jaki wtedy był ogródek zieloniutki, pokryty kwiatami, gdyśmy przechadzając się, rozmawiali ze sobą?

A ona: Ogródek zieloniutki, ogródek kwiecisty... Ty pomyśl, moje serce, ile Dębiki przynoszą rocznie? . . .

Młody aż wzdrygnął się, i patrzy na nią, jakby go jednéj chwili zdziwiło co, przestraszyło, wpiło się w serce . . . .

— Cóż? — pyta panienka, — czego się tak patrzysz na mnie? Czy powiedziałam co od rzeczy? Czy nie chcesz gospodarować ze mną?... I bierze go za rękę i uśmiecha się słodko.

I on się uśmiechnął:

— O! ty moja gosposiu kochana!

XVII.

Poweselała panienka. Kłopocze się swoją wyprawą; zamawia, przygotowuje, a wszystko sama.

Ponazwoziła z miasta: szewców, krawców, szwaczek, kramarzów, kramarek. Sama przynagla, narzeczonego poséła... kupuje, kraje, składa — jak w garnku zakipiało!

Było nam wtedy ciężkie licho! Bo nasza taka dola: dobrze czy źle panom, a nam jednakowo! „Komu — powiadają — wesele, a kurze śmierć!“

Na wesele zjechało się pań! panów! . . . We dworze huk jak w ulu! Ciekawe panienki opatrują wyprawę, dziwią się . . .

— Oh, jakież to piękne! Ach, i to śliczne! A to! . . . O, to musi być bardzo drogie! . . .

Nie jedna gdy obaczy: chustkę, suknię jaką... aż oczy mruży, tak się źle jéj robi w sercu!.... A lgną one do tego, niby muchy do miodu! Ledwie żeśmy się ich zbyli z głowy.

XVIII.

Dla tego nawału, kłopotań się, zbieraniny, ani godzinki nie miałam, by się z ludźmi pożegnać. Konie już stoją zaprzężone, wtedy pobiegłam. Nie mogę słówka przemówić, tylko obejmuję starych i młodych.

Młody, przyjechał po nią czwórką koni. Konie wrone, przysadziste. Powoził woźnica barczysty, wąsaty, w czapce wysokiéj . . . Z naszych ludzi, ale wyuczone podług pańskiego gustu.

Tu państwo żegnają się, rozmawiają, płaczą... a ten woźnica siedzi jak z żelaza wykuty: nie obróci się, nie spojrzy.

Wsiedli państwo do tego powozu. Mnie przyczepili z tyłu na jakiejści wysokiéj przyczepce.

— Z Bogiem Nozarze! — krzyknął pan wesoło.



ŁAZIENKI KRÓLE

Był cichy, jasny poranek gdyśmy wyjeżdżali, a mróz aż trzeszczy. Śnieg opuszył wierzby, gałęzie bielały, błyszcząc od słońca. Dziewczęta wysypały się na ulicę, kłaniają mi się . . . Szybko, szybko biegły konie; — tylko

w oczach mignęło mi — wsi nie ma! Droga, droga — bezludna droga przedemną . . .



E... W WARSZAWIE.

XIX.

Prędko przebyliśmy drogę do miasta. Jak do mrówiska wpadli! . . . Idą, jadą, sprzedają, kupują . . . Ludzie, panowie, moskale, przekupki . . . A długopołe żydostwo, kędy nie spojrzysz — wszędy ich pełno, jak te chrząszcze huczą . . .

Kazał pan wstrzymać konie przed domem zajezdnym, i poprowadził swą młodą do pokoju. Woźnicy dał pieniędzy: „Zjedz obiad!" A o mnie? ani spojrzał! . . .

Siedzę ja tak i patrzę się. Wszystko obce, nie swojskie wszystko! Aż wtém ktoś jak nie huknie: „Hej piękna, urodziwa!" Ażem się zatrzęsła. To woźnica woła na mnie. Popatrzyłam na niego. Ależ to czarniawy! mateńko!... włosy czarne, jak u kruka!... Zaśmiał się, zębów u niego... nie policzysz! a białe te zęby, białe, jak śmietana!

— A kogo wam trzeba? — zapytałam.

— He! kogo?... Jak bo się ty nazywasz... Guścia! podobno? A chodź ze mną, Nozarem, zjemy objad we dwoje.

Przeziębłam bardzo. A pójść, myślę, jak tu pójść? u Boga! Jeszcze pani się zagniewa.

— Dziękuję wam, odpowiedziałam. Jeść mi się nie chce.

Woźnica uśmiechnął się.

— Jak chcesz, dziewczyno! — i poszedł.

XX.

Czy jedną przesiedziałam godzinę, zanim wyszli państwo. Pan wtedy spojrzał na mnie.

— A cóż ty tu siedzisz? Guściu! pyta, czy jadłaś objad?

— Hej! krzyknął na brodatego gospodarza, któren tu w ganku liczył pieniądze na dłoni, pobrzękując. — Dajcie co zjeść dziewczynie!

Gospodarz schował pieniądze do kieszeni i pobiegł.

— Co to? co to? — żachnęła się pani — Mamy czekać na nią?

— A jakże, serdeńko! — odpowiada pan. — Przecież ona głodna i namarzła się, nieboga!

— I cóż? Oni do tego przyzwyczajeni! Spóźnimy się! . . . Będę się bać jechać! . . .

— Biegaj dziewczyno, prędzéj! — mówi pan do mnie. — Nie baw się, by nie czekać na ciebie!

Pani poczerwieniała na całéj twarzy.

— Pora jechać!

— Ależ ona głodna, duszko!... Patrz, jak przeziębła . . .

— Ja przeziębłam! ja! ja! — I taki na to *ja* przycisk kładzie, wykrzykuje.

— Siadaj! — krzyknęła wreszcie na mnie, i sama wskoczyła do powozu.

Pan zdumiał. Nie wie co ma myśleć, co mówić? stoi...

— Cóż! — pyta pani. — Czy długo jeszcze? . . . Wtedy już biedaczysko usiadł przy niéj.

A gospodnik brodaty: — Nie rozkaże pan objadu dziewczynie? . . .

Długo mówili ze sobą państwo; a jeszcze dłużéj potém milczeli.

XXI.

O zmroku dojechaliśmy do futoru. W chtach świeciło się gdzie-niegdzie. Przejeżdżamy ulicą, stanęliśmy przed dworem. Na ganku gromadką stoją ludzie ze światłem, z chlebem świętym. Kłaniają się, witają młodą parę.

— Dziękuję! dziękuję! — mówi pan, przyjmując chleb do rąk własnych. — Przywiozłem wam młodą panią. Czy się wam podoba?

Sam uśmiecha się, szczęśliwy! Komużby nie podobało się takie cacko? . . .

— A pani, jak spojrzy na niego, aż skrami sypnęły jéj oczy; na twarzy mieni się . . .

Ludzie do niéj, by przywitać po zwyczaju. A ona wyrwała z rąk od któregoś zapaloną świecę, i skoczyła do pokoju! Ludzie tak się i cofnęli od tych drzwi, nic panu nie odpowiadając.

Pan niespokojny, smutny wszedł także, pochyliwszy głowę.

Weszłam i ja. Patrzę, rozglądam się. Pokoiki nie wielkie, ale ładniusie, czyściutkie. Krzesełka, stoliki, wszystko to nowe, aż się lśni. Szłyszę, państwo rozmawiają. Słucham, moja pani płacze, a pan tak już ją prosi i błaga! . . .

— Nie płacz, nie płacz! życie moje, serce moje drogie! . . . Gdybym wiedział, że cię to obrazi, anibym pomyślał . . .

— Ty pewnie wszystkich chłopów tak wyuczyłeś, że są za pan-brat z tobą! . . . Pięknie! Oglądają mnie . . . śmieją się do mnie . . . ledwie że mnie nie porwali w objęcia . . . O, ja nieszczęśliwa! Jak się oni ośmielili! — krzyknęła na ostatku.

— Serce moje! Ludzie dobrzy, prostacy . . .

— Ja o niczém nie chcę wiedzieć! nie widzieć! nie słuchać - zatorkotała pani. — Ty mnie życia chcesz pozbawić, czy co! . . . — wykrzykuje, płacząc.

— Dość! dość aniołku! Jeszcze zachorujesz . . . O, nie płacz że, nie płacz! Robić będę wszystko, jak sama zechcesz. Daruj mi, ten raz jeden, jedyny . . .

— Ty mnie nie kochasz, ty nie dbasz o mnie . . . Bóg z tobą!

— Grzech ci to przypuszczać? Ja nie kocham ciebie? Wiesz sama jaka to prawda!

Słyszę — pocałowali się.

— Pamiętajże — mówi pani. — Gdy mi się będziesz w czém sprzeciwiać — umrę!

— Nie będę! nie będę, moje serce!

XXII.

Obeszłam pokoje, nie ma nikogo.

— Czy nie przed nami pouciekali? — myślę sobie. Wyszłam na ganek. Noc księżycowa, ubrana gwiazdami. Stoję i rozpatruję się tak; aż słyszę:

— Jak się masz? dziewczyno! — ktoś koło mnie jak w struny uderzył. Zadrżałam, patrzę się: słuszny parobek, przystojny, patrzy na mnie, uśmiecha się.

Zawstydziłam się i zlękła. Stoję jak kamień, i tylko patrzę mu w oczy.

— Sama tu stoisz — znów ozwał się parobek. — Pewnie nie wiesz którędy się idzie?

— Gdybym nie wiedziała, was bym zapytała — odpowiedziałam mu, nieco przyszedłszy do siebie. — Bądźcie zdrowi!

I do drzwi co prędzéj.

— Bądź zdrowa, serdeńko! — rzucił w ślad za mną.

XXIII.

A państwo wciąż po pokojach chodzą. Młoda zagląda w każdy kątek: jak tam i co? Obaczyła ziele za obrazem. — Co to takiego?

— To baba obraz przystroiła.

— Co? . . . *Baba* u ciebie gospodaruje! . . . Wyrzuć serce to ziele! To zupełnie po chłopsku! . . .

— Dobrze, serce!

Wtedy ona całuje męża. — Gołąbku mój!

Ot nachodzili się, narozmawiali.

— Co to — mówi pan — że nie ma nikogo? Gdzież ta baba się podziała?

— A widzisz! widzisz! — zawołała pani. — Jak oni tu porozpuszczani u ciebie. Zachciało się jéj, więc poszła.

— No . . . nie ucieczę! . . . zaraz ją przywołam.

I dalejże wołać, jak posłuszne chłopię: Babo! babo!

— Zaraz serce, baba przyjdzie — mówi do pani, by ją uspokoić.

— Gdzież ona była?

— Pewnie była czemś zajętą, moja lubciu! Ona, wszystka moja służba.

— A gdzie moja Guścia! Czy i ona nauczyła się biegać bez pozwolenia? Guściu! Guściu!

Stanęłam przed nią.

— Gdzie byłaś?

— W drugim pokoju.

Stanęłam znów za drzwiami. Znów patrzę i słucham.

XXIV.

Weszła baba, stara, stareńka! aż do ziemi się chyli, zmarszczona cała! tylko oczy czarne żyją jeszcze i jaśnieją. Weszła cicho stąpając, i pyta:

— A czego panu potrzeba?

Pani aż z krzesła zerwała się, że sługa tak jest śmiałą.

— Gdzie ty byłaś? babo! Musiałem cię wołać — powiada pan.

— W kuchni byłam, paneczku! Pomagalam Hannie, byście dobrą mieli wieczerzę.

Widzi pan, że żona ledwie gniew może powstrzymać, a jednak nie ma odwagi łajać babę: rusza oczami, kaszle, po pokoju chodzi, nie wie co ma począć.

Pani odwraca się od niego, Babusia stoi u progu.

— Cóż! kolacja gotowa? — pyta pan już chmurny nieco.

— Gotowa, paneczku — cicho i spokojnie odpowiada babusia.

— Serce! (do pani). — Możebyśmy jedli kolację?

— Nie chcę jeść! — odpowiedziała pani, i wybiegła, drzwi zatrzasnąwszy.

— To i ja nie będę jeść, babusiu! — powiada pan, już smutny.

— Więc pójdę. Dobranoc, paneczkowi!

— Idź! Ale trzeba uważać, stara, ażebym nie biegał za tobą — zaczął pan, ale się wnet powstrzymał, gdy mu babusia odpowiedziała jak zwykle:

— Dobrze, paneczku!

Ukłoniła się i wyszła.

XXV.

Chodził, chodził pan po pokoju. Słyszy, że pani płacze za ścianą. — Boże mój! — zawołał — Czego ona płacze!... I tak on to słowo cicho, tak żałośnie wymówił...

Nie wytrzymał, poszedł do niéj. Całuje, uspakaja. Długo ją błagał, zanim płakać przestała.

— A wieczerzy nie chcę! — mówi do pana. — Ja na twoje sługi nietylko... ale patrzeć się nie mogę! Tak się z tobą obchodzą, jak z swym bratem! Krewni, nic innego!...

XXVI.

Samotna siedzę w garderobie: smutno, taka cisza... Oto życie moje będzie! oj, piękne, piękne!... Teraz to, myślę sobie, nasze dziewczęta będą mieć życie, bez mojéj pani!... Wesolutko, milutko, razem!... A dla mnie, obce strony... Nie ma żywéj duszy!

Aż tu coś do okienka: sztuk, sztuk! Cała stanęłam w płomieniach... Nie wiem już jakim sposobem, a domyśliłam się... Siedzę, niby nie słyszę.

Trochę poczekawszy, znowu stuka. Rzuciłam się ja i drzwi poprzymykała, by państwo nie posłyszeli.

— A kto tam? pytam.

— Ja, dziewczyno, gołąbko!

— Zapewneście się omylili, mówię. — Nie do tego okna stukacie!

— Już też i nie w te!... Po licha-ż i oczy we łbie, jeśli nie zoczyć tego, kogo potrzeba!

— Nie bardzo tak potrzeba... Oto znaleźliście rozmowę przez okno podwójne!...

Ustąpcie! jeszcze pani posłyszy!... — I odeszłam od okna.

A on taki: — Dziewczyno! dziewczyno!

— Po coś ty zalazł tu pod okno? Prokopie! — ktoś zapytał z cicha — Ot, wieczerza, Bóg wie jak długo już gotowa; a z was nie ma nikogo!

XXVII.

Ktoś wszedł do sieni. Otwieram drzwi — aż to babusia.

— Jak się masz, dziewczyno! — przemówiła do mnie — Prosimy na wieczerzę, zarutko!

— Dziękuję, babusiu!

— To chodźmy!

— Zaraz panią zapytam.

— Po co pytać? lubko! Przecież to wieczerza!

— Czy pozwoli iść?

Babusia milczała chwilkę, a potem: — To idź, moje dziecko! Ja tu zaczekam na ciebie.

Państwo siedzą razem milutko, wesolutko; rozmawiają ze sobą. Weszłam, a pani:

— Po co się suniesz?

— Prosze mi pozwolić — powiadam — pójść na wieczerzę.

— Idź sobie! wieczerzaj!

XXVIII.

Poszłam ja z babusią przez podwórze do chaty.

— Przyprowadziłam wam dziewczynę — mówi babusia, wprowadzając mnie do chaty.

A w chacie za stołem siedział czarniawy Nazar iładniutka molodyczka, żona Nazara.

W piecu płonie jak w chucie. Wesoło błyszczą w świetle białe ściany i obrazy ozdobione wyszywanym ręcznikiem, zasuszonem kwieciem i zielem umajone.

Na półce pysznią się miski i miseczki, zielone i czerwone i żółte, jak drogie kamienie.

Wszystko w téj chacie było takie wesołe, przybrane, wpadające w oko; i kądziel miękkiego lnu na żerdzi, i czarny kożuch na kołku, i pleciona kołyska, z dzieciną.

— Prosimy do towarzystwa! - przywitali mnie i skłonili się.

— Możeby obok mnie taka królowa zasiadła? — pyta Nazar.

— Albośćie wy tu najpiękniejsi? zapytałam. Spojrzę, aż ten parobek już tu... z kąta już wypatrzył się na mnie, aż mi się gorąco zrobiło.

— Może nie tak? — powiada Nazar — Przypatrz mi się tylko z uwagą: to już piękny i urodziwy!

— Chyba po nocy! — przemówiła mu wesoło mołodyczka.

Ładna to była kobieta! zwali ją Katarzyną. Bialutka sobie trochę przysadzista, oczy błękitne, jasneńkie; a sama okrąglutka i świeża jak jabłuszko. W czerwonym czepeczku, w zielonym kaftaniku bajowym. Żartobliwa była i dumna dosyć; a ochocza! I mówi, i robotę robi, i dziecko kołysze... To przy stole powiewają jéj rękawy, to przy piecu błyszczą pierścionki.

— No, no! — mówi do niéj Nazar — Gdyby nie kluski, odpowiedziałbym ci!...

W téj chwili właśnie Katarzyna postawiła na stole miskę z kluskami.

Nazar mrugnął na mnie: nie grzech temu dobrze jeść na wieczerzę, kto objadu nie widział.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Teatr. — („Uczniowie szkoły Karola“ dramat p. *Laubego*. — „Pociecha Rodziny“ komedja p. *Bourgeois* i *Decourcelle)*.

Raczéj zwyczaj aniżeli potrzeba kładzie nam dzisiaj sprawozdawcze pióro do ręki, na naszych bowiem teatralnych deskach nic nowego nie zeszło. Wybór robi Dyrekcja dobry, artyści grają wyśmienicie, dekoracje trzymają się jeszcze kupy — ale to wszystko znane aż nadto, publiczność radaby widziéć coś nowego, a żółciowy recenzent czycha tylko, aby na nowo wprowadzonych sztukach wyostrzony poszczerbić skalpel.

Wejdźmy tymczasem do szkoły Karola. Dramat p. *Laubego* „die Karlsschüller“ dawany od czasu do czasu, cieszyć się będzie powodzeniem, posiada bowiem wszystkie potrzebne ku temu warunki, którym autor, jeden z najznakomitszych dramaturgów i ex intendent Burgteatru w Wiedniu, obecnie zaś dyrektor teatru w Lipsku, z łatwością mógł zadość uczynić.

Osnowa dramatu znaną jest powszechnie, opiera się ona na przeciwstawieniu i walce idei wolności i postępu uosobionéj w Szyllerze z opiekuńczą powagą i silnym wieloletnim trwaniem oraz absolutyzmem uosobionym w Karolu ks. Wirtembergskim.

Pomysł nie nowy ale niemniéj szczęśliwy od wykonania. Osoby dramatu p. Laubego pełne są życiowéj prawdy i świadomości przewodniczących im zasad, słowa popierane są czynem wyradzającym coraz to nowe sytuacje, tak, że uwaga widzów nieustannie czujną być musi, nie nużąc się jednak i nie przesycając ani na chwilę.

Co więcéj — pan Laube wprowadzając na scenę postać dość często branego w obroty despotyzmu, nie dopuszcza się nigdzie surowych, brutalnych tyrad, jak to w wielu innych utworach dramatycznych ma miejsce. Karol Wirtembergski naszego autora jest bezwątpienia wykwalifikowanym despotą, lecz nie obraża na scenie ani praw natury, ani estetycznego poczucia widza bezmyślnemi wybrykami wyrafinowanych okrucieństw. Przeciwnie, Karol p. Laubego jest despotą logicznym i wierzącym głęboko w wyznawane zasady, tak, że według wszelkich wymagań sztuki, przeciwstawienie jego odrębnemu charakterowi Szyllera—jest usprawiedliwione.

P. *Rapacki* oddał tę postać z całą godnością i najsubtelniejszą prawdą. Miarkowany i w każdéj chwili odpowiedni potrzebie głos ani razu nie uchybił skali, rozkazujące zaś poruszenia głowy i rąk, jak niemniéj wszystkie nieme sceny były zdumiewające.

Całość gry *Szyllera* (p. Ładnowski) była zupełnie zadawalniającą, w detalach jednak spostrzegaliśmy niektóre usterki pochodzące ze zbytniéj afektacji, unoszącéj zdolnego naszego artystę poza granice psychologicznéj prawdy. Uwagę jego zatém na to zwrócić musimy, że jeżeli siła i pewność siebie znamionują się spokojem, to niemoc i zwątpienie wywołuje niepokój i gwałtowność.

W dramacie o którym mowa, Szyller pod wpływem listu Dalberga, pod tłokiem miejscowych przeciwności i z racji podejrzanego mu powodu oddania egzemplarza „Zbójców“ przez Laurę w ręce Silberkolba, popada w ten stan duszy, który zwykł znamionować się gwałtownością i burzliwą walką z samym sobą — mowa jego zatém i ruchy winny nosić wierne odbicie wewnętrznego stanu. Wszystko to jednak zmienia się z chwilą kiedy sama Laura wyznaje mu prawdę i miłość. Teraz dopiero sentymentalizm i rzewność poety na jaw wychodzi, a młodzieńcza podrażniona gwałtowność ustępuje miejsca spokojowi szczęścia, który nawet w ostatecznéj rozprawie z księciem Karolem przeważać powinien.

Są to szczegóły, na które szersza publiczność nie zwraca uwagi, które jednak przyjazna artyście krytyka w interesie jego własnego talentu poruszyć jest obowiązaną.

Silberkolb (p. Dobrzański) grał dobrze, w scenie jednak wyłudzania książki od Laury nie był dość przewrotnym, i w ogóle nie dość charakterystycznie oddał *czarną* postać spodlonego niewolą dworaka niepowrotnie przeszłych czasów.

Nie podzielamy również sposobu zapatrywania się pana Wolskiego na rolę generała *Riegera*, nie zdaje się nam bowiem, aby wyszły ze szkoły najbardziéj nawet uniformowanego serwilizmu komendant Hohenaspergu, potrzebował koniecznie przybierać postać automatu o sztywnych nogach i perjodycznie kiwającéj się głowie, któréj usta wydają grobowe jęki. Karykaturowanie i tak już śmiesznych postaci należy do przeszłości i jest ze stanowiska tegoczesnych pojęć o sztuce dramatycznéj ostatecznie wyrugowane.

Pomimo tych małych usterek, porządek całego przedstawienia był wzorowy, a stosowne bardzo rozdanie ról kobiecych, przyczyniło się niemało do uświetnienia wieczoru.

Wyborna gra pp. *Aspergerowéj* i *Hoffmann* (generałowa Rieger i Franciszka de Hohenheim) znaną jest z zeszłorocznych przedstawień, co zaś do p. *Parżnickiéj* (Laura) to gra jéj odznaczając się głębokiém zrozumieniem i nadobnym oddaniem postaci naiwnéj, uczuciowo głębokiéj, zwol-

Dodatek

na do poznania tlącéj w sercu miłości dochodzącéj Laury na zupełne zasługuje uznanie. Nie zupełnie dostateczne cieniowanie różnych stopni odbieranych wrażeń w scenie oddawania książki Silberkolbowi sowicie wynagrodzonem zostało przejmującym oddaniem nieméj boleści po raz pierwszy rozdartego młodziuchnego serca przy rozstaniu nazawsze z ukochanym Szyllerem.

Wkońcu dodać winniśmy, że tłumaczenie sztuki dokonanem jest nieźle, spolszczenie jednak nazwiska fortecy Hohenasperg przez wysoki Asperg jest niewłaściwe i źle brzmiące, nie mówi się przecie wysoki Stauffen, ani wysoki Zollern, lecz Hohenstauffen, Hohenzollern itd.

Komedja pp. *Bourgeois* i *Decourcelle* p. t.: „Pociecha Rodziny“ nie bardzo podobała się publiczności, jakkolwiek zdaniem naszem jest wcale dobrze ułożoną. Cel jéj jest danie morałów opuszczającym swe żony mężom. Temat to bardzo zużyty, przyznać jednak należy autorom, że kary które ponosi żyjący w rozłączeniu od żony a udający kawalera pan de Silly są tak naturalne i tak misternie sprowadzane jak w rzadko któréj z podobnych francuzkich komedji. — Wszyscy artyści wywiązali się zupełnie zadawalniająco, szczególniejsze jednak uznanie należy się pp. *Bendzie* (Hektor Durosnel) i *Ekerowi* za *niezrównane* odegranie roli modnego lwa i bezmyślnego próżniaka Oskara de Beaulieu.

Nader pociągającą była szczerze naiwna gra i pełna gracji lekkość ruchów p. *Parżnickiéj* (Cecylia). Swoboda, naturalność i ciągła harmonija słowa z czynem jest cechą charakterystyczną téj artystki, przynoszącéj zaszczyt każdéj przyjętéj na siebie roli.

Rola Juliana de Silly w rękach p. *Rapackiego* zyskać tylko mogła, nie sądzimy jednak, aby to stosownie było nużyć znakomitego artystę rolami, które właściwie nie są dla niego.

O...le.

---

a. δ. **Kronika.** — *Pytanie czy latarki nie byłyby potrzebne jako dodatek do oświetlenia gazowego w Krakowie. — Raz ostatni o piernikach. — Bal na wdowy i sieroty po żołnierzach z rewolucji 1863 roku. — Kronikarzowi urywa się wątek — ratuje się więc „Armatą.“*

Ile razy zły lub zrozpaczony zasiadam do Kroniki, aby całą żółć spotrzebować na usługi publiczności, zawsze Opatrzność czuwając nad moją kronikarską duszą, nie pozwala mi zaprzepaścić się w gniewie a złości.

Dzisiaj naprzykład siadłem do pisania pełen najliryczniejszego żalu do członków towarzystwa gazowego w Krakowie, za to, że wracając o godzinie 10 w nocy (z teatru) do domu, o mało co nie rozbiłem głowy o latarnię gazową, która jakkolwiek paliła się, ale światło gazu było tak mdławe, iż mogłem śmiało sądzić, że wśród ciemności brodzę.

Rzeczywiście nieraz już podziwialiśmy oszczędny temperament towarzystwa gazowego, i nieraz, zwłaszcza gdy noc ciemniejsza, musieliśmy z latarką w ręku szukać *palących* się latarni gazowych, choćby dla zaspokojenia wrodzonéj ludziom ciekawości, czy stoją na swoim miejscu. Gdybym był człowiekiem wpływów lub znaczenia, gdybym u braci obywateli miał zachowanie, albo wreszcie stanowisko radzcy krakowskiego Magistratu, nie wahałbym się ani chwili wystusować petycyą do pp. członków tow. od gazu, aby pamiętając na słowa umierającego Goetego: *licht mehr licht*, nie *ociemniali* stolicy Piastów i Jagiellonów.

Otóż jak mówię zasiadłem do pisania, aby wypowiedzieć to wszystko co mi kamieniem leżało na sercu względem latarni gazowych, — gdy wtém odbieram pakiet z poczty — a w nim . . . królewski przekładany piernik wyrobu p. Molęckiego. Widok słodyczy jest w stanie rozbroić moje serce, choćby ono było przepełnione piołunową goryczą. A cóż dopiero smak tych słodyczy, którym i najwybredniejszy smakosz nie mógłby nic zarzucić. — Dzisiaj rzeczywiście czuję całą niesprawiedliwość mojego pióra, żem mógł wzmiankę zrobić w moich artystyczno-literackich wycieczkach o wyrobach p. L., wobec takich specjałów jakie z pod ręki pana Molęckiego wychodzą. Oddając więc piernikom p. M. całą sprawiedliwość i uznanie, zapraszam go najuprzejmniéj na dalszego prenumeratora „Kaliny,“ zapewniając go solennie, że *próbki* pierników są daleko wymowniejszym argumentem dla przekonań kronikarskich, nad załączony do pierwszego listu cennik.

Bojąc się atoli aby kroniki „Kaliny“ nie były za słodkie, przyrzekam wam piękne moje czytelniczki, na przyszłość używać tylko soli attyckiéj, choćbym po nią miał posłać do Jego Asmodeuszowskiéj Mości „Djabła“ krakowskiego, — który mówiąc prawdę, coraz to liczniejszych zyskuje stronników w publiczności naszego świętego grodu.

Widzę żem wpadł w *reklamy* jak Piłat w Credo — dla spokojności więc własnéj, żem sumiennie spełnił mój obowiązek, wspomnieć tu muszę o balu dla wdów i sierot z roku *sześćdziesiątego trzeciego*. Bal ten ma się odbyć 20 listopada r. b. w sali hotelu Saskiego. Sieroty i biedni nic więcéj nie żądają od Ciebie prześwietna publiczności patryotyczna, jak tylko — abyś się *licznie* zgromadzić raczyła. Nawet zapatrując się z punktu filantropii polskiéj — jestto może najwłaściwsza forma balów naszych, — a w każdym razie najpiękniejszy *polonez* do zaczęcia karnawału.

Gdybyście więc szanowne i piękne panie nie miały nic przeciwko temu — uniżony wasz kronikarz, najwięcéj plotkarska figura w stolicy, na 20 listopada obiecuje się przedstawić wam osobiście do pierwszych kadrylów i polek — aby w następnéj kronice . . . napisać, która z was . . . . najlżéj i najzgrabniéj tańczy.

Byłem właśnie zdecydowany zaangażować jaki ideał mój do galopki — i przegalopować z jakie dwie stronnice, mając skrzydła fantazji na swoje usługi — gdy wtem — fatalna okoliczność, przypomniałem sobie, że tylko na 9 wierszy jest jeszcze miejsca.

Zaledwie mi go więc tyle zostaje, aby wspomnieć o pojawieniu się w Krakowie nowego pisemka humorystycz-

nego, które jak się zdaje, ma zamiar wychodzić dwa razy na tydzień, coraz to pod innym tytułem.

Czytający ogół, ma w porozumieniu „Djabła"... i uważa „*Armatę*" i „*Bambus*" za jego rodzone dzieci.

Godnem jest przecież uwagi, że „Djabeł" w dodatkach swoich *(Armata* i *Bambus)* dowcipniejszym jest o wiele niż w swojéj oryginalnéj istocie.

Mody na **listopad.**

Opis ryciny.

Strój balowy. Suknia powłóczysta z białego mulu obszyta dołem szeroką falbaną, z przodu spadają dwie falbany zakończone od góry powojem błękitnym. Obiedwie falbany zakończone w tyle dużą buffą podpiętą szarfami mulowemi szerokości 40 centymetrów. Staniczek wycięty biały ozdobiony z tyłu i z przodu przykryciem z błękitnéj materji spiętéj na ramionach gałązkami powoju, od paska w tyle sukni spada rodzaj fartuszka z materji błękitnéj oszytego frandzlą jedwabną. We włosach gałązki powoju błękitnego. Druga suknia także z białego mulu oszyta dołem trzema falbankami podpiętemi po bokach makiem polnym. Tunika mulowa oszyta dołem buffą i zakończona frandzlą ze słomki podpięta po bokach makiem i kłosami, stanik i falbanki od dołu oszyte frandzlą słomkową, pasek jakoteż tunika ozdobione w tyle fontaziami ze wstążki żółtéj. We włosach wpięte żółte strusie piórko, mak polny i fontaź ze wstążki.

Opis krojów.

ARKUSZ PIERWSZY.

Płaszczyk „Danton."

Fig. 1. Przód
Fig. 2. Boczek do przodu } — — — — —
Fig. 3. Boczek do plecek
Fig. 4. Plecy
Fig. 5. Dolna część } ✻ ✻ ✻ ✻
Fig. 6. Peleryna o o o o o o

Plecy, dolna część i peleryna krają się w całości, inne części każda pojedynczo, gdy już plecy z boczkiem zeszyte od E do F, wtedy przyszywa się część dolna Fig. 5, ułożona we fałdy do plecek w stanie od × do . Boczek od przodu przyszywa się od C do D do boczku Fig. 3, a do Fig. 5 od J do K. Przód przyszywa się od A do B i od G do H; na szwie od A do B przyszyć potrzeba pasek do opasania w stanie. Peleryna jest w tyle nadcięta i zastępuje rękawy; w tyle peleryny daje się ozdoby ze sznura z kutasami, takież kutasy są umieszczone z przodu. Cały płaszczyk i peleryna oszyte dołem frandzlą jedwabną.

Paleto „Julia."

Fig. 7. Przód
Fig. 8. Plecy } ×·×·×·×·×·
Fig. 9. Rękaw ✻ — ✻ — ✻ —
Fig. 10. Mniejsza część
Fig. 11. Większa część } ubrania w tyle ▪ ▪ ▪ ▪ ▪ ▪

Przody i plecy z aksamitu wełnianego są podszyte i ze sobą zeszyte, na boku spięte we fałd ku tyłowi. Plecy ułożone w tyle w buffę ogarnirowaną dołem, również przody i rękawy falbaną z czarnéj materji. Ubranie w tyle zrobione z czarnéj materji i zakończone paskiem czarnym.

Paleto „Metternich" na lat 10.

Fig. 12. Przód
Fig. 13. Plecy } —·—·—·—
Fig. 14. Kapiszon
Fig. 15. Kołnierzyk } — oo — oo — oo

Paletocik ten zrobiony z czarnego kortu i suto przybrany taśmami i guzikami, kapiszon spięty w tyle na guziki zeszyty razem z paletocikiem około szyji i zakończony stojącym kołnierzykiem.

ODWROTNA STRONA ARKUSZA KROJÓW.

Paletot „Helena" i „Bijou."

Fig. 16. Przód
Fig. 17. Boczek } o o o o o
Fig. 18. Plecy
Fig. 19. Kołnierzyk } — × — × — ×
Fig. 20. Rękaw do paletota „Helena"
Fig. 21. Rękaw do paletota „Bijou" } oo — oo — oo —

Tylko krojem rękawów różnią się te dwa paletoty od siebie, także Paletot „Bijou" kraje się cokolwiek krótszy oraz Paletot „Helena" obszyty dołem aksamitem i frandzlą. „Bijou" jest tylko lamowany aksamitem i spięty z przodu na dwa rzędy guzików około szyji wyłożony mały aksamitny kołnierzyk.

Paletot „Hongrois" na lat 6.

Fig. 22. Przód
Fig. 23. Boczek } —·—·—·—·
Fig. 24. Plecy
Fig. 25. Podkład z przodu } ✻ ✻ ✻ ✻
Fig. 26. Kołnierzyk
Fig. 27. Rękaw } ×·×·×·

Śliczny ten paletocik dla dziewczynki, zrobiony z zielonego sukna, lamowany czarnym aksamitem, dołem koło rękawów i około kieszonek dostaje podkład z materji czarnéj w kratkę pikowanéj, i koło szyi kołnierzyk aksamitny czarny.

Żakiet „Coquillage."

Fig. 28. Przód
Fig. 29. Boczek do przodu } ▪ ▪ ▪ ▪ ▪ ▪
Fig. 30. Boczek do tyłu
Fig. 31. Plecy } — — — — —
Fig. 32. Rękaw
Fig. 33. Kołnierzyk
Fig. 34. Listek do obszycia } . . . . .

Paletocik zrobiony jest z perłowego korciku i ozdobiony dokoła oraz kołnierz i rękawy zębami lamowanemi atłasem popielatym lub szkockim, z przodu spięty dwoma rzędami guzików.

ARKUSZ DRUGI.

Paletot „Porthos."

Fig. 35. Przód }
Fig. 36. Listewka } — — — — —
Fig. 37. Plecy }
Fig. 38. Kołnierz } o o o o o o
Fig. 39. Rękaw o o — o o — o o —

Robi się go z brązowego kortu i ubiera atłasem i frandzlą jedwabną, w tyle od dołu pozostawiają się plecy na pół łokcia rozcięte, zaś z przodu spina się na dwa rzędy guzików.

Paletot „Capoul" na lat 12.

Fig. 40. Przód }
Fig. 41. Boczek do przodu } × · × · × ·
Fig. 42. Boczek do tyłu }
Fig. 43. Plecy }
Fig. 44. Rękaw } ▪ ▪ ▪ ▪ ▪ -

U tego paletocika pozostawia się w tyle od dołu plecy nie zeszyte, zaś po bokach we dwa fałdy podpięte. Do około dołem jest frandzlą i pliskami z atlasu ogarnirowany, z przodu na atłasowe guziki zapięty. W tyle nad rozcięciem i w stanie po bokach są różyczki z atlasu.

Kaptur „Orientale."

Fig. 45. Peleryna }
Fig. 46. Kaptur } — · — · — ·

Robi się go z sukienka pąsowego i wyszywa złotym nataziem, tasiemką i frandzlą, a pod twarzą na chaftkę się zapina lub na sznury związuje.

ODWROTNA STRONA ARKUSZA DRUGIEGO.

Nr. 1. Środkowa część do haftu na przykrycie stołu.

Nr. 2 i 3 dwa wzory na wyszycia sznurkiem, lub do ściegu łańcuszkowego.

Nr. 4. Kołnierzyk marynarski z białego płutna.

Nr. 5. Stosowny mankiet.

Nr. 6, 7, 8 i 9. Wzór na koszyczek wycinany z forniru.

Nr. 10 i 11. Głoski A i M haftowane w pajączki.

Nr. 12. Głoski E, F, haft francuski.

Nr. 13. Głoski N, O, haft atłaskiem i pajączki.

Nr. 14. Okrągła podstawka pod lampę, wyszyta na suknie kolorowym.

Nr. 15. Głoski J, D. Nr. 16 Głoski B, T, haft atłaskiem.

Nr. 17 i 18 dwa wzory na małe poduszeczki, wyszyte jedwabiem na suknie.

Nr. 19, 20, 21 i 22. Głoski do znaczenia bielizny.

Nr. 23. Szlak do hafu na spódnice.

Nr. 24. Szlak do haftu.

Nr. 25. Szlak do wyszycia na sukienki dziecinne.

Nr. 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33 i 34 różne rzutki do haftu lub wyszycia jedwabiem.

Nr. 35. Wązki szlaczek do kołnierzyka węzełkami robiony.

Nr. 36. Szlak wyszyty jedwabiem na baszlik lub mantylkę.

Nr. 37. Wstawka, haft atłaskiem na mulu lub batyście.

Nr. 38. Głoska wiązana MS. haft atłaskiem.

Od Redakcji.

☛ Szanownych prenumeratorów, którzy nie zapłacili za kwartał IV-ty, upraszamy o nadesłanie zaległéj prenumeraty.

☛ Do dzisiejszego Nru dołącza się dla prenumerujących, ***rycina mód oraz arkusz wzorów i krojów.***

Kierujący Redakcją ALEKSANDER DAWIDOWICZ.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

„Lateinisch-deutsches und Deutsch-lateinisches Hand woerterbuch" v. Mullmann, r. 1863. — złr. 1.

„Lateinisch-deutsches und Deutsch-lateinisches Hand woerterbuch" v. Kreisler, (2 tomy). — złr. 1.

„Wspomnienia lat ubiegłych" p. Goczałkowską, 2 t. — kr. 60.

Przyjmuje się w zamian książki szkolne jakotéż i inne.

HELENA LANGER

przyjmuje wszelkie obstalunki

KAPELUSZY, CZEPKÓW, UBIORKÓW, KOSZULEK, PALETOTÓW

i innych robót krawieckich,

podejmuje się

prania, farbowania i przerabiania na najnowsze formy

KAPELUSZY SŁOMKOWYCH

i naprawy koronek prawdziwych

w swojém własném mieszkaniu przy ulicy Ś. Jana pod L. 301, drugie piętro.

!!! Bardzo ważne !!!

dla

RODZIN I ZAROBKUJĄCYCH.

OTWARCIE SZKOŁY SZYCIA MASZYNĄ

oraz

Główny Skład maszyn do szycia

u p. J. L. Wasserbergera w Krakowie, ulica Grodzka, Nr. 58.

Podpisany nie szczędził trudów i kosztów, aby pozyskać najzdolniejszych ludzi w tym zawodzie z Francji i Anglji, i dla tego ma przekonanie, że potrafi pozyskać zupełne zaufanie i zadowolenie Szanownéj Publiczności. Nauki szycia maszyną udziela się w języku polskim, niemieckim, francuskim i angielskim.— **Nabywcom** udziela się **nauka** w domu i poza domem **bezpłatnie**, z sześcioletniem zaręczeniem trwałości maszyny.

Tamże są do nabycia każdego czasu w największym wyborze wszelkie gatunki maszyn, części składowe tychże, igły, nici i jedwabie, oraz przyjmują się najdelikatniejsze roboty do wykończenia. — Polecając się łaskawym względom Szanownéj Publiczności

Zostaję z głębokiém uszanowaniem

za Howe Machine Company w Nowym Jorku

Dyrekcja.

W Drukarni „Czasu" W. Kirchmayera.

Rządzca Drukarni *Józef Łakociński.*